

# Gołębiowski, Stefan

---

Dyngus Wielkiej Soboty, "Życie Warszawy", nr 73, 13 IV 1982 :  
[przedruk]

---

Bieżuńskie Zeszyty Historyczne 25, 27-29

---

2011

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## DYNGUS WIELKIEJ SOBOTY

„Życie Warszawy”, nr 73, 13 IV 1982

Jak tylko pamięcią sięgam, zawsze mieliśmy konia gniadego. Raz tylko, kiedy Gniada miała się ożrebić na sam czas robót wiosennych, żeby jej ulżyć w ciężkiej pracy polowej, ojciec na Rynku Końskim w Żurominie dokupił Kasztana. Okazyjnie, za sumę stosunkowo przystępną.

Koń jak się patrzy. Niebywalej piękności. Trzylatek o smągłych, sprężystych nogach. Zad zgrabny, ogon jak rozczesany warkocz. Kark z grzywą rozwianą, łeb kształtny, wyskakujący w górę.

Tancerz w miejscu, a w biegu werbel kopyt przy kołach grających. Koń z fantazją. Gdyby mu dodać skrzydła, byłby to skrzydlaty koń poezji. Tak mówił mój brat starszy, który już znał konia Farysa.

Chciałem, żeby mnie ojciec na jego grzbiet posadził, jak mnie nieraz sadowił na Gniadej. Nic z tego. Odsunął mnie od konia. — Za mały jesteś. Musisz podrosnąć, żebyś sam mógł na niego skoczyć.

Do domu iść mi kazał i cieplej się ubrać. Marcowa pogoda kalendarzowej wiosny niepewna. Powietrze przesycone wilgocią. Odwilż i roztopy, a tu nas czeka dwanaście wiorst po wybojach szosy do Żuromina. Na całorodzinną Wielkanoc do cioci Stasi.

Biegnę do matki i na własne palto, nie bez przymusu, wkładam stare, mamine. Opatulony wracam w salopie. Jej poły podniesione trzymam w rękach, bo w nogach się płaczą. Kasztan bez Gniadej w dyszolkach się szarpie, głową protestuje, kopytami tłucze w bruk, aż iskry lecą.

Pakujemy się do bryczki. Z tyłu matka z braciszkiem w beciku na poduszce i starszy brat. Na przedzie ojciec ze mną. Trzyma lejce w rękę, a bat między nogami. Raczej od parady, bo Kasztan nie lubi, jak go popędzają.

Wyskoczył z bramy i wpadł w błoto niebrukowanej ulicy. Przyhamował. Nabrał rozpędu przy Starym Rynku. Pierwszy zakręt, most, drugi zakręt, karnyński most, za dawnym, młynem, trzeci zakręt i droga do Sadłowa prosta jak strzała.

Ojciec przerywa milczenie i mówi do nas, zwrócony w stronę konia:

- Co za chody, takie nogi mieć, to trzeba być nie lada cugantem.
- Tylko mu skrzydła dodać — powtarzam za bratem.

Ojciec nieco popuszcza lejce i odwraca się do matki. Oczekuje aprobaty. Matka patrzy pobłażliwie i na wszelki wypadek dodaje: — Lepiej uważaj, bo koń coś za prędko leci i bryczka za bardzo skacze.

Dojeżdżamy do brzozowego gaju. Wzdłuż drogi, po lewej stronie biegną truchtem białopienne, nagie nogi Panien. Kasztan przed nimi zwolnił biegu. Jakby osłupiały przystanął. Potem zaczął nogami drepnąć i tańczyć w miejscu.

Wówczas zaświstał w powietrzu bat i chlusnął Kasztana po zadzie. W górę tylnymi nogami skoczył i cały naraz rzucił się w prawo. Lejce szarpnęły w lewo i koń utzymał się na szosie.

Przednie koła pomknęły za nim, a tylne tymczasem z rozpędu wpadły do rowu. Bryczka się na bok przechyliła i wylecieliśmy w powietrze. Jedyne matka, która gwałtownie chwyciła się poręczy, po nas wszystkich bryczkę wypełniła krzykiem. Braciszek z becikiem, owinięty poduszką, wypadł jej z rąk i znalazł się w rowie. Brat starszy cało wyfrunął na drugi brzeg. Ojciec natomiast, za ciężki do lotu, jedną nogą trafił na drugi brzeg, a drugą do rowu. Ledwie kamasza nie zgubił, bo nosił na gumach.

Z nieopisanym pośpiechem syn starszy pomógł ojcu wydobyć się z rowu, żeby jak najprędzej ruszyć matce na pomoc. Zmaltretowana, jak tylko stanęła na nogach, z wyciągniętymi ramionami pobiegła ratować najmłodszą pociechę. Małeństwo popłynęło w dół rowu. Nie w koszu wiklinowym, jak Mojżesz, jeno w poduszkach. Miało szczęście, pióra je uratowały.

O mnie wszyscy zapomnieli. Utknąłem w błocie rowu. Salopa podniosła się do góry i nie pozwoliła mi się ruszyć z miejsca. Borykałem się z nią, jak mogłem. Wreszcie podniosłem ją do góry. Ściągnąłem przez głowę i smyrnąłem na szosę, niechcący pod nogi Kasztana. Wtedy dopiero usłyszałem krzyk matki. Myślała, że mnie Kasztan kopytami zatratował.

W międzyczasie ja wykaraskałem się z rowu i utyłany jak nieboskie stworzenie przydyrdałem do nóg matki z mazgajskimi wyrzutami: — To przez Maminą salopę. Gdyby mnie ona nie opętała, wyglądałbym inaczej.

Ojciec dla udobruchania dał mi do rąk uzdeczkę. Nie bez lęku pogłaskałem Kasztana po pysku i lekko za sobą pociągnąłem. Ojciec tymczasem chwycił za tylną oś, brat za szprychy koła i bryczka wytoczyła się na szosę.

W oplakanyim stanie dojechaliśmy do Żuromina, już bez przeszkód. Kasztan w pojedynkę zrobił swoje. W Wielką Sobotę taki wyprawił nam dyngus, że w lany poniedziałek zostawiono nas w spokoju.

Po tym Kasztanie były już u nas same gniade konie z rodowodem Gniadej. Nawet nie miałem sposobności z nim się pożegnać. Chociaż nas tak fatalnie potraktował, były jednak w nim zadatki na konia poezji.

## STWORZENIE

„Życie Literackie”, 1969, nr 24, 15 VI 1969

### 1

Stworzenia świata nie było. Jak pamięcią sięgam, już istniało nad głową niebo i świeciły ciała niebieskie. Od nich zależał i zależy dzień i noc, które wzajem sobie czas kradną.

Pierwsze z ognistego krzaku wychodziło słońce, oblicze Boga. To samo i różne jak cztery pory roku. Wiosną więcej liczyły się rozkwitłe wschody, jesienią gasnące w barwach zachody. Zima chwytała za uszy i szczypała w twarz, bez względu na rąk protesty i nóg tupanie. Lato natomiast dawało się we znaki w inny sposób. Skóra z białej przechodziła w ciemną i mówiono o mnie Murzynek, jakbym zmienił rasę, bez prześladowania rasowego.

Niebo nie lubi być długo pogodne. O tym świadczą chmury na wysokim czole. Pierzaste urozmaicają monotonię wiszącego krajobrazu, kłębiaste tworzą wyspy i archipelagi lotne. Rosną zwałami i już się na czole nie mieszczą. Bóg krzaczaste brwi sroży, bo nie widzi, co się na ziemi wyprawia. Błyska w oknach, trzaska drzwiami. Z hurkotem jeździ tam i na powrót. Wielki płacz bryzga. Jeszcze pół biedy, jak tęcza wyjrzy na znak zgody.

W przeciwieństwie do dnia noc na wiele spraw przymyka oczy. Zamiast słońca ma księżyc, który najpiękniej wygląda w pełni, do pła-skiego miedzianego talerza podobny. Okruchy, przeznaczone dla niebieskich ptaków, nie mogą się na nim utrzymać i dlatego jest ich tyle na niebie.

Jak w niebie, tak i na ziemi wszystko już miało porządek ustalony. Suche miejsca i wody, piaski i bagna.